Tom XVIII. Nr. 5.
11. lutego 1868.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Przyjaciele.

Zbylice leżą w ziemi krakowskiej. Piękna to wieś, ale i tam, jak się to wszędzie zdarza, są gospodarze zamożni, są i biedacy, są ludzie dobrzy, uczynni, przyjacielscy, są i źli, nieuczynni, zawistni, i tam nakoniec, tak jak wszędzie, bywają czasem piękne urodzaje, a czasem mało co się urodzi.

Mieszkało tam przed niewielu laty dwóch gospodarzy, Paweł Żarnowski i Wincenty Smoleń, których od lat dziecinnych ścisła, nierozerwana wiązała przyjaźń. Serdeczna, niezachwiana, długie lata trwała ona pomiędzy nimi. Podobało się to Bogu, podobało się ludziom dobrej woli, bo też nic piękniejszego jak taka przyjaźń. Czy to w kościele, czy przy pracy, czy na rozrywce, oni zawsze razem, a przytem, obaj zawsze skromni, stateczni, pracowici; przykładem byli dla wszystkiej młodzi wioskowej, a pociechą dla rodzin swoich.

Niestety, dwaj ci tak wierni sobie od dzieciństwa przyjaciele, rozstać się musieli gdy doszli do wieku, który obowiązuje do służby wojskowej. Wincenty zdał się i wzięli go na

żołnierza a Paweł pozostał w domu. Smutno im się było rozłączyć, i smutno odtąd płynął czas Pawłowi, bo tęsknił bardzo za towarzyszem lat młodocianych, a to tylko pociechą było dla niego, że Wincenty pisywał często do swojej matki i w każdym liście o nim wspominał, a zawsze tak serdecznie, że mu się nieraz na płacz zbierało.

Gdy Wincenty wysłużył przepisane lata i wrócił do wsi rodzinnej, zastał już przyjaciela swego Pawła gospodarującym w nowej chacie, ożenionym i ojcem kilkorga jeszcze drobnych dziatek. Po tak długiem niewidzeniu przyjaciele długo nie mogli się sobą wzajemnie nacieszyć, bo czas kilkuletni i rozstanie nie oziębiło wcale ich dawnej przyjaźni. Schodzili się więc często, a najczęściej Wincenty do Pawła przychodził i opowiadali sobie swoje przygody: Paweł, jak mu szło gospodarstwo, jakie musiał pokonywać przeszkody zanim się ożenił, jakie kłopoty z drobną dziatwą przebywa i jaką już ma pociechę z najstarszej dzieweczki; Wincenty zaś, co widział w cudzych krajach, jak mu się na wojnie powodziło, i o różnych innych rzeczach.

Wincenty zastał swoje gospodarstwo w dość złym stanie, bo jego matka, staruszka, nie mogła wszystkiemu należycie podołać. Musiał się więc nie mało napracować, zanim wszystko do ładu przyprowadził. Paweł pomagał mu chętnie, co Wincenty zawsze o ile mógł, odsłużył i kochali się ciągle a nigdy żadnej kłótni, żadnej nawet sprzeczki nie było pomiędzy nimi.

Aliści nie mogło tak trwać na wieki. Znalazł się we wsi człowiek jeden niegodziwy, który tę ich piękną i tak dawną przyjaźń niecnemi swemi zabiegami zakłócił. Był to także dawny wojskowy, stary wyjadacz i mądrzejszy od Wincentego, bo umiał czytać i pisać, a co większa, wycierał kąty po różnych kancelarjach i tu ówdzie co nieco z prawa połapał. Człowiek ten, nazwiskiem Lisek, podejmował się pisania skarg do sądu, co mu niejaki dochód przynosiło — często od obu stron, bo nieraz obu przeciwnikom jednocześnie i w jednej sprawie pisywał supliki. Dla własnej więc korzyści kłócił on między sobą sąsiadów i namawiał do procesów. Widząc, że Paweł ma się dość dobrze i u Wincentego kieszeń nie próżna, wziął

się do nich obu na dobre, a nic nie wskórawszy u Wincentego, jak się zaczął do Pawła przysiadać, jak mu zaczął to i owo pięknemi słówkami szeptać na ucho, a zwłaszcza w karczmie, przy kieliszku, tak nakoniec wmówił w niego, że ojciec Wincentego zaorał był granicę co jego grunta dzieliła od roli, którą Paweł po swoich ojcach odziedziczył i że tym sposobem Wincenty trzymał niesłusznie w swojem ręku kawał łąki, który się z prawa Pawłowi należał.

Paweł był łatwowierny, uwierzył podszeptom niegodziwego Liska, i wnet między dwoma przyjaciółmi wszczęła się sprzeczka, wkrótce zaś potem przyszło do bitki, a nakoniec do procesu. Odtąd nie tylko wszelka przyjaźń między nimi ustała, ale nadto Paweł, taką przeciw dawnemu przyjacielowi uniósł się zaciekłością, że gdy się z nim spotkał na drodze, to się od niego odwracał, wszędzie gdzie mógł, siał plotki na niego i tysiące na każdym kroku wyrządzał mu przykrości. Wincenty przekonany, że słuszność jest po jego stronie, znosił to wszystko cierpliwie w nadziei, że Paweł prędzej lub później upamięta się i spokojnie oczekiwał na koniec procesu, ufając Bogu, że natchnie sędziów, aby spór rozsądzili sprawiedliwie. Także i w tem mądrze sobie poradził, że nie słuchał ani Liska, ani żadnego jemu podobnego pismaka, lecz oddał sprawę swoją w ręce dobrego adwokata, który będąc człowiekiem uczciwym, gdy się w papierach rozpatrzył, nawet żadnego podarunku wziąść nie chciał, upewniając go, iż sprawa tak jest czysta, że ją wygra i bez adwokata.

Kilka tygodni minęło jednak, a proces jeszcze się nie skończył, bo wykręty Liska posłużyły dobrze do przewleczenia sporu. Tymczasem nadszedł czas odpustu kalwaryjskiego. Ze Zbylic wybierało się na święte miejsce kilka gospodarzy, wybrał się też i Paweł Żarnowski z żoną a dzieci troje zostawił w domu pod opieką dziewki służebnej.

W tem, jakoś trzeciego dnia, czy to przez nieostrożność dziewki, czyli też tylko tak z dopustu Bożego, wybuchł pożar w chacie Pawłowej. Kilkunastu sąsiadów ujrzawszy łunę, przybiegło co tchu na ratunek, ale pomoc była już daremna, bo ogień wszczął się wewnątrz i bardzo prędko ogarnął całe do-

mostwo. Rzucili się ludzie aby ratować stajnię, szopę ze zbożem, narzędzia gospodarskie, a dziewka tymczasem, wyrzekając i płacząc, wywłóczyła z chaty co mogła. Za drugimi przybiegł też i Wincenty Smoleń a przybliżywszy się najprzód do dziewki, pyta ją, czy przynajmniej dzieci uratowane i gdzie są?

Dziewka, która z przestrachu całkiem była głowę straciła, pokazuje mu dwoje dzieci, z których młodsze trzymała właśnie na rękach.

— A gdzie Janek? zapyta Wincenty.

Dziewka dopiero teraz przyszła do przytomności i postrzegła, że trzecie, średnie dziecko zostawiła przez zapomnienie w izbie.

— O doloż moja nieszczęśliwa! cóż ja teraz pocznę? krzyczała w niebogłosy, załamując ręce.

Wincenty skoczył czemprędzej ku ogniowi, ale stało tam kilku gospodarzy, którzy go nie puścili.

— Człowiecze, rzecze jeden, czy ci nie miłe życie?

— Czy nie widzisz, że już dach trzeszczy i lada chwila zleci?

— Jakto? zawoła Wincenty, dla tego że dach trzeszczy to my damy dziecku spalić się i będziemy się obojętnie przypatrywać jego mękom?

— Ha, cóż my poradzimy? powie jeden i drugi: niech się dzieje wola Boża. Tu już ludzka siła nie poradzi, kiedy cały dom w ogniu.

— Puszczajcie mię, krzyknie Wincenty; ja dziecku nie dam zginąć, ja go wyratuję. Puszczajcie!...

— Ani się waż, powie na to wójt, bo cię każę związać jeżeli będziesz nieposłuszny. Trzymajcie go i nie puszczajcie.

— Ej, ktoby tam zważał na wasze gadanie, zawoła Wincenty szamocząc się z dwoma gospodarzami, którzy go trzymali za płótniankę.

— Będziesz zważał, musisz, powie wójt; ja tu za wszystkie głowy odpowiadam, więc i za twoją.

— O! odpowiecie wy ciężko Bogu za to dziecko, jeżeli marnie zginie, odpowiedział Wincenty.

— Jeżeli Bóg dziecku taką śmierć przeznaczył, ofuknął go wójt, na co ma dwoje ginąć?

Z drugiej strony poszepnął ktoś Wincentemu:

— Człowiecze, to przecie dziecko Pawła, czy on wart abyś życie swoje narażał dla uratowania jego dziecka? Czyś zapomniał jak on cię krzywdzi?

Wincenty opuścił głowę na piersi.

— Prawda, rzekł sam do siebie półgłosem, to dziecko Pawła.. co mię krzywdzi i procesuje; niech więc ginie! co mię to obchodzi? Paweł już nie jest moim przyjacielem. Lecz nie... nie... dziecko nie odpowiada za winy ojca, i Paweł jeszcze się upamięta.

Szarpnął się i nie słucha już nikogo, bo się zdołał wyrwać z rąk swoich opiekunów. Już jest przy ścianie, już wskakuje na okno, zasłoniły go płomienie. W całem zgromadzeniu powstała cisza najgłębsza, którą przerywał tylko szum wiatru i trzeszczenie ognia. Wszyscy wlepili oczy w okno, w którem zniknął Wincenty, i nie było tam ust, któreby nie szeptały: „Boże zlituj się nad nim, zlituj się nad niemi“, bo widok takiej odwagi i takiego szlachetnego poświęcenia się, wszystkich poruszył i rozrzewnił.

Chwilka minęła i Wincenty znowu ukazał się na oknie, tym razem już z drogim ciężarem na ręku.

— Jest! żywe! zawołał zeskakując na ziemię.

W tej chwili belka spadająca z góry uderzyła go w głowę tak silnie, że upadł na ziemię.

— Ratujcie dziecko! krzyknął donośnie.

Cała gromada przybiegła do niego, podnoszą go, zlewają wodą; kobiety porywają dziecinę, opatrują; nogi tylko miało cokolwiek osmalone, szczęściem nieszkodliwie. I Wincentemu nic się nie stało, czoło tylko miał trochę skaleczone.

Nie długo potem runął dach i niebawem dopaliły się wszystkie cztery ściany, poczem się i gromada z miejsca pożaru rozeszła. Paweł miał we wsi siostrę zamężną, do niej więc przeniosła się dziewka z dziećmi i ocaloną resztą dobytku na tymczasowe mieszkanie.

Pawłowie wracając z odpustu dowiedzieli się na drodze o swojem nieszczęściu, bo wieść wkrótce rozeszła się po całej

okolicy. Ale powiedziano im tylko, że był u nich ogień, a nikt nie wiedział jaką zarządził szkodę, ani też czy dzieci ocalone. Dopiero gdy przyszli do wsi i dzieci ujrzeli zdrowe, uspokoili się; ale któż opisze zdziwienie Pawła gdy mu opowiedziano ile zawdzięcza poczciwemu Wincentemu? Tknięty do żywego tym pięknym jego czynem nie wiedział sam czy mu pierwej dziękować, czy go przepraszać.

— Czegóż się mam dłużej namyślać? mówił sam do siebie. Kiedy on taki poczciwy, to pewnie i do mnie żalu nie czuje i łatwo da się przejednać.

Już miał iść do niego i rzucić się mu na szyję, gdy oto ukazał się na progu ów niegodziwy Lisek, który ich przyjaźń rozerwał. Przewidział on, że czyn Wincentego ułagodzi Pawła, przyszedł więc podjudzać go na nowo i dalejże prawić mu duby smalone o łące, o granicy, o bliskiej wygranej procesu, o korzyściach jakie stąd odniesie, dalejże zachęcać go, aby wyłożywszy tyle a tyle na proces, nie cofnął się broń Boże, póki przeciwnika nie upokorzy.

— To wy myślicie Pawle, rzekł mu w końcu, że on byłby taki skory w ogień skakać, gdyby się nie czuł winnym? Ot, zwyczajnie chciał was tym sposobem podejść i udobruchać; ale wy macie rozum, Pawle, wy się nie dacie wyprowadzić w pole.

Paweł był bardzo ograniczony, a taki, choćby najpoczciwszy, zawsze złemu pozwoli sobą kręcić, byle tylko zły był mędrszy od niego. Jakoż przyrzekł Liskowi, że od procesu nie odstąpi i do Wincentego nie pójdzie.

Jednak gdy Lisek poszedł, jeszcze raz odezwało się w Pawle sumienie, już schwycił za czapkę — ale wrócił się od drzwi, przypomniawszy sobie łąkę i proces. Przecie moc niewidzialna ciągnęła go nieustannie do dawnego przyjaciela i wiele razy spojrzał na swego średniego chłopczynę, oczy łzami mu zachodziły. Nakoniec poczciwość wrodzona wzięła górę nad namową złego człowieka, i poszedł do Wincentego aby się z nim pojednać i podziękować mu za jego dobre serce.

Wincenty ujrzawszy go wchodzącego, zerwał się ku niemu z uśmiechniętą twarzą i wyciągniętą ręką. Czoło miał obwią-

zane, bo jeszcze rana od belki zadana, nie całkiem mu się zagoiła.

— Przecież ci się doczekałem, Pawle — rzekł ściskając go po przyjacielsku za rękę.

Paweł nieśmiało spojrzał mu w oczy.

— Wicku, jak ja ci podziękuję?

— Bracie jużeś mi podziękował i nagrodziłeś mię stokrotnie kiedy się nie gniewasz i przychodzisz pojednać się ze mną.

Obaj ścisnęli się serdecznie.

— Bogu niech będą dzięki, powie Wincenty, że się tak stało, bo powiem ci prawdę Pawle, że już dłużej wytrzymać nie mogłem. Pamiętasz ty jak my dawniej zawsze zgodnie żyli? jak nam dobrze z tem było? Pawle, czy będzie tak znowu?

— Będzie, będzie, odpowie Paweł, ale pamiętaj Wicku, że gdybyś czego potrzebował, to możesz życiem mojem rozrządzać.

Długo potem obaj przyjaciele nagadać się nie mogli i odtąd na nowo zakwitła dawna przyjaźń pomiędzy nimi. Paweł nie słuchał już Liska, poszedł do sądu, odwołał proces, odebrał papiery i znowu w całych Zbylicach nie było lepszych przyjaciół jak Paweł Żarnowski i Wincenty Smoleń.

Stanisław Krakowczyk.

Ludzie naszej wioski.

Powtarzam wciąż jedne piosnki
Kocham ludzi z naszej wioski!
Boć to dobrzy są ludziska,
Wszyscy Boga w sercu mają,
Gdy jednego bieda ściska,
Wnet jak bratu pomagają.

Nie ma u nas panów hardych,
Ani lalek wystruganych,
Lecz jest wielu ludzi twardych,
Jak z żelaza kutych, lanych;
Więc powtarzam jedne piosnki,
Kocham ludzi z naszej wioski.

Chociaż człeka deszcz przemoczy,
Piorun przemknie tuż przy głowie,
Wicher gradem miecie w oczy,
Burza, grad idą na zdrowie;
Więc powtarzam jedne piosnki,
Kocham ludzi z naszej wioski.

I w takiem to życiu twardem,
Pan Bóg szczęści po maleńku,
Stoim pracą, stoim hartem,
Nie znając słabości lęku;
Powtarzam więc jedne piosnki,
Kocham ludzi z naszej wioski.

Gdy wesele, to się cieszą,
Kiedy pogrzeb, rzewnie płaczą,
Przy robocie zawsze spieszą,
Gdy się skłócą, nie przebaczą;
Powtarzam więc jedne piosnki,
Kocham ludzi z naszej wioski.

I tacy to ludzie twardzi,
Choćby mury przebić głową,
Miękną wnet na dobre słowo,
I bratają jeszcze bardziej;
Więc powtarzam jedne piosnki;
Kocham ludzi z naszej wioski.

Serce mają jak na dłoni,
Prostotę i szczerość w mowie,
Niech ich zawsze Pan Bóg broni,
By zła myśl postała w głowie;
Ja powtarzam swoje piosnki,
Kocham ludzi z naszej wioski.

L.

Walny jarmark.

W każdem mieście i miasteczku odbywają się co tydzień lub co miesiąc jarmarki i targi, na co niektóre z naszych miast mają jeszcze od królów polskich tak zwane przywileje, to jest pozwolenia, a takowe spisane są na owczej skórze, co się zowie pergamin; inne znowu miasteczka podostawały już w naszych czasach pozwolenia na odbywanie jarmarków od rządu.

I taki walny jarmark byłby rzeczą bardzo pożyteczną, raz że człowiek na jarmarku dostanie tego wszystkiego, co mu może brakować, bo na jarmark dowiozą z różnych stron rozmaitych rzeczy, powtóre, na jarmarku każdy może sprzedać czy bydlę, czy zboże lub co innego, bo tam znajdzie kupca, a do domu przyniesie ze sobą pieniążki, co się zdadzą na niejedną potrzebę. Ale co jeszcze jest ważnem, że na jarmarkach poznają się ludzie ze sobą, jeden drugiemu coś ciekawego opowie, czy o jakim zarobku, czy o interesach kraju, nareszcie o jakiem polepszeniu w roli, szczęśliwym lub nieszczęśliwym wypadku, słowem, jeden drugiemu coś doradzi, zgani, z nim się pocieszy, zasmuci, i t. p.; ale cóż z tego, kiedy takie jarmarki nie odprawiają się u nas.

Najprzód tedy opowiem wam, co to jest u nas walny jarmark. Walny jarmark jest to łapka na kieszeń ludzką i zdro-

wie, do której łapki kładą ponętę szachraje, szynkarze, handlarze, a łapka ta tak sztucznie jest wymyśloną, że prawie jedna dusza nie wyjdzie z niej na sucho, bo chociaż za jeden palec to każdego uchwyci. Ale gdzież tam! mało bardzo jest takich, żeby na dobre się nie złapali.

Nie jeden gospodarz wymyśla w domu co nie miara na te różne jak mówi: niepotrzebne wymysły — niepotrzebna mu szkoła, na którą reński lub dwa rocznie wydaje, niepotrzebny komin, bo dziadek z bydłem i w dymie siedzieli, niepotrzebny pług lepszy, stół, łóżko, pościel, stołek, zegar, obrazy a nawet ogólna czystość w domu i przy domie, i różne różności niepotrzebne, bo w stary obyczaj nawyknięty włościanin, nie postara się nawet tyle o dobro własne, swej rodziny i swego domu, ile się stara jaskółka, budując swoje gniazdeczko, chociaż Bogu dziękować, grosz teraz zarobiony przy pobożności, pracy i oszczędności wystarczyłby na wszystkie potrzeby, które do porządnego życia należą: ale na jarmarku to wszystko złe potrzebne. Nie minąć poczciwego Moszka, to należy do jedynastego przykazania, stracić tam połowę lub cały krwawo zapracowany grosz na przeklęty trunek, to i serce nie boli, bo litkup, spotkanie, przeprosiny, dobry interes, zapić frasunek, to jakże bez pijatyki; a gdzie jeszcze muzyka przygrywa na intencyę jarmarku i do przechodniów tak miło przemawia, to chyba grzechem byłoby nie pożałować karczmarza, który tak szczerze jarmarcznikom dogadza. A taki prawdziwy jarmark to dopiero przed każdą karczmą się odbywa.

Znam wielu gospodarzy i gospodyń, którzy ten nałóg odwiedzania jarmarków bez potrzeby, tak mają wrodzony, że strzały z nieba, słabość dziecka, lub inne ważne przeszkody, nie wstrzymałyby ich od wędrówki jarmarcznej.

Taki gospodarz najlepszy czas do pracy w roli zaniedba, najlepszy zarobek porzuci, a jarmarków nie opuści. Gospodyni taka nie sprzeda ani masła, ani przędzy, ani nawet kilka jaj w domu, bo z czemżeby wybrała się na jarmark: a tak wędrując co tydzień lub więcej na jarmark, niechby tylko dwadzieścia centów niepotrzebnie się wydało, to rocznie dziesięć złotych reńskich wynosi, a jakby we wsi tylko pięćdziesiąt

takich ludzi się znajdowało, to rocznie pięćset reńskich idzie ze wsi na marność. Uważcie kochani bracia, jakaby to szkoła za te pieniądze we wsi była i coby to można pożytecznego za te pieniądze sprawić! Tożto dopiero podatek i przyczyna zguby włościan.

Przypatrzmy się jarmarkowi o śródwieczerz, jakito huczny i głośny powrót jarmarczników do domu. Słychać wszędzie śpiewanie, trzaskanie z biczów a często przekleństwa i bitki. Widząc podobnych ludzi na jarmarku i iść z nimi aż do domu, jakże to dziwnie wygląda!

Na jarmarku wesół, butny, jakby trzy wsie zostawił w domu dla żony, a w domu nędza, dzieci gołe, czarne, do szkoły nichodzą, bo odzienia nie mają i głód im dokucza, żona i poczciwej zapaski na sobie nie ma, chałupa jakby w niej niedźwiedzie mieszkać miały, po każdą rzecz trzeba iść do sąsiada pożyczać, podatki i składki zaległe, ani bydlęcia, ani konia poczciwego, życie nędzne, jakby tych ludzi co mieszkają w zimnych krajach, gdzie wieczna zima a może i gorsze. Otóż to obraz naszych krzykliwych jarmarczników.

Cóż takim ludziom pomogą najlepsze urządzenia, najgorętsze przestrogi pasterzów? na cóż im przyda się szkoła? na co Rady powiatowe i gminne? kiedy on dziko żyje, i jak nędzarz umierać musi. Dałby Bóg, żeby to każdy poznał sam siebie, starych a złych nałogów odzwyczaił się, z dobrych rad życzliwych ludzi korzystał, a wtedy dopiero może być u nas dobrze.

Edmund Janicki,
nauczyciel z Błażkowy.

O życiu roślin.

Ileż to ruchu, ile krzątaniny, ile nadziei na wsi, gdy bociany przylecą, a wiosna nastanie! Rolnik gorące modły zasyła do nieba o urodzaj, bo od urodzaju zależy dola jego i jego rodziny. Ale nie ma słoneczka, nie ma deszczyka, a słoneczko i deszczyk niosą życie roślinom, bez nich zaś nie ma życia i

nic się nie urodzi. A jakże się to dziać może? czy roślina połyka promyki słońca? Nie, ale z powietrza, gdy je słoneczko wygrzeje, tworzy się pokarm, którego rośliny koniecznie do życia potrzebują. A jakiż to jest ten pokarm? Uczeni, co się chcieli tego dowiedzieć, rozbierali pilnie rośliny, ich części, owoce, łupiny i doszli z czego się to wszystko składa, czyli z jakiego pokarmu powstało. Owóż doszli oni, że rośliny ciągną z powietrza trojakie pokarmy, które nazwali jeden węgiel, drugi wod, trzeci tlen.

Węgiel znamy wszyscy, bo go w piecu z drzewa dosyć zostaje i sadza jest także węglem, w ziemi zaś kopią węgiel kamienny, który się pali równie dobrze jak drzewo; ale co dziwna, że ów kamień kosztowny, zwany djamentem, który w pierścieniach oprawiają, jest także węglem, jeno w innej postaci; a co jeszcze dziwniejsza, że ten sam węgiel tak się w powietrzu rozpływa, że go nawet nie widać.

Wod także rozchodzi się i rozpływa po powietrzu, a nie widać go, bo jest do powietrza bardzo podobny; podobny, ale nie całkiem taki, bo w nim samym żadne zwierzę żyć by nie mogło, a jest tak lekki, że kula nim napełniona i puszczona w powietrze, nie spadnie na ziemię, lecz w górę ulatywać będzie. Tlen nakoniec jest także podobny do powietrza i w nim buja swobodnie, ale cięższy jest od niego; zwierzęta mogą nim oddechać, a świeca w nim postawiona pali się daleko jaśniej jak w zwyczajnem powietrzu.

Najwięcej roślin składają się tylko z węgla, wodu i tlenu i one to, rozmaicie łącząc się z sobą w roślinie, tworzą mąkę w ziarnach i owocach zawartą, jakoteż klej czyli lep roślinny, cukier, włókno drzewne, oleje i tłustości, słowem wszystko, z czego się rośliny i ich owoce składają.

Ale ten pokarm, który rośliny biorą z powietrza, nie jest im do życia dostateczny; potrzebują one jeszcze innego, który ciągną z ziemi. O tem dowiadujemy się takim sposobem, że gdy jaką roślinę albo jej owoc włożymy w ogień, wtedy to co z powietrza powstało, spali się, zniknie, napowrót się w powietrzu rozejdzie, ale zostanie popioł, który się składa z tego co roślina bierze z ziemi.

I z czegóż to składa się popiół? Uczeni ludzie doszli i tego. Owóż podług nich popioł zawiera potaż i sodę, wapno, magnezyę, niedokwas żelaza, niedokwas manganezu, krzemionkę, chlor, kwas siarczany czyli witrjol, kwas fosforowy. Co to wszystko jest, opiszę wam przynajmniej kilku słowy.

Potaż jest to proszek biały, cierpkawego smaku, który w powietrzu wilgotnieje. Można go zrobić z popiołu drzewnego, tym sposobem, że sypie się popioł do wody i gotuje się póty, póki się wszystką woda nie wygotuje, a wówczas potaż zostanie na spodzie.

Soda podobna jest do potażu, ale w powietrzu nie wilgotnieje, lecz wysycha, robi się zaś z roślin morskich albo z soli.

Wapno jest każdemu dobrze znane, równie jak krzemionka, która niczem innem nie jest, tylko zwyczajną skałką do krzesania ognia.

Magnezya jest biały proszek, który sprzedają w aptekach na lekarstwo, a robią go z wody morskiej i pewnego gatunku kamienia wapiennego.

Niedokwas żelaza jest to po prostu rdza, którą okrywa się żelazo leżące na wilgoci.

Niedokwas manganezowy, podobny jest do rdzy żelaznej a wydobywa się z ziemi i niektórych roślin.

Chlor jest podobny do powietrza, albo raczej do dymu: jest on zielono żółty i ma mocną woń duszącą, a otrzymuje się ze zwyczajnej soli.

Kwas siarkowy czyli witrjol jest to płyn bardzo kwaśny i palący, który powstaje gdy się siarka pali, a zawiera się także w gipsie, ałunie i t. p.

Kwas fosforowy jest także bardzo kwaśny; powstaje on gdy się pali fosfor, znany dobrze każdemu, bo z niego to robią się główki zapałek. Kość zwierząt i nawóz bydlęcy zawierają w sobie bardzo wiele fosforu.

Owóż z tego to wszystkiego składają się popioły roślin, ale nie wszystkie popioły jednakową ilość wszystkiego zawierają, bo n. p. w popiele z pszenicy jest więcej kwasu fosforowego jak w popiele z siana, a w popiele z siana jest więcej

wapna niż w popiele z pszenicy; ztąd też wypada, że pszenica potrzebuje na pokarm więcej kwasu fosforowego niż siano, a siano więcej wapna niż pszenica.

Kiedy wiosna nastanie a słoneczko przygrzewa, rośliny ciągną z powietrza swój ulubiony pokarm, węgiel i tlen, które łącząc się z sobą tworzą kwas węglowy. W powietrzu jest go bardzo mało, a rośliny potrzebują go wiele, wciągają zaś ten kwas węglowy licznemi drobniuchnemi dziureczkami, których pełno jest na całej roślinie, osobliwie zaś na odwrotnej stronie liści. Rośliny karmią się tym kwasem węglowym przez cały dzień, w nocy zaś już go nie przyciągają, lecz wówczas wydzielają z siebie tlen w nim zawarty jako im nie potrzebny, a tylko węgiel w sobie zatrzymują. Oprócz kwasu węglowego rośliny przyciągają także z powietrza wód, w postaci wilgoci, która je odświeża.

Z węgla to i z wody tworzy się w roślinie włókno, którego jest najwięcej w drzewie, słomie, sianie, łupinach, lnie, konopiach, i t. p., z niego powstaje mączka czyli krochmal, którego najwięcej jest w ziemniakach i ziarnie zbóż; ale nie należy się obawiać, aby tego pokarmu roślinnego kiedykolwiek zabrakło na świecie, ponieważ Stwórca tak mądrze urządził, że ile kwasu węglowego rośliny spotrzebują, tyle znowu wydają go zwierzęta przez oddechanie, tyle powstaje go przez palenie drzewa, węgla, przez gnicie roślin i korzeni w ziemi. O jakże to dziwnem jest zaiste, że zwierzęta wydają kwas węglowy potrzebny roślinom, a rośliny wydają liście i ziarna na pokarm dla źwierząt; że rośliny gnijące wydają z siebie pokarm dla roślin nowo wschodzących!

Ale jednak chociaż rośliny mają węgiel w powietrzu, a nawet ciągną go korzeniami i z ziemi, zwłaszcza pruchnicowej, ileż to razy zdarzy się, że rośliny wyrosną wątłe, a ziarno wydadzą liche i jest nieurodzaj! Jakimże to dzieje się sposobem? Oto takim, że gdy ziemia jest wypleniona, i nie ma w sobie dosyć tego pokarmu, którego rośliny potrzebują jeszcze oprócz powietrznego, natenczas rodzić nie może. Ziemia służy roślinom za podstawę, w której się korzenie rozgałęziają, a dostarcza także i pokarmu, bo prócz piasku i wapna zawiera także

w sobie potaż, sodę, magnezję, krzemionkę, niedokwas żelaza, niedokwas manganezu, kwas siarkowy, kwas fosforowy i chlor, te same, które zawiera popioł roślin i glinkę, której nie ma w popiele. Wszystkie te pokarmy roślinne rozpuszczają się w wodzie i roślina wciąga je korzeniami prócz glinki, której nie wciąga. Jedna roślina potrzebuje tego lub owego pokarmu więcej, druga mniej. W 53 funtach popiołu z rajgrasu, jest kwasu fosforowego tylko ćwierć funta, ztąd widzimy, że rajgrasowi potrzeba bardzo mało kwasu fosforowego, inne rośliny potrzebują bardzo mało kwasu siarkowego; lecz choćby najmniej tego lub owego potrzebowały, w ziemi musi się znajdować wszystko, co im potrzebne, inaczej roślina nie mogąc ciągnąć z ziemi odpowiedniego pokarmu, rosnąć nie będzie.

Należy więc znać skład roślin, i wiedzieć jakiego pokarmu która roślina najwięcej pochłania, aby po jej zebraniu, nie posiać w tem samem miejscu drugiej, która tego samego pokarmu tyleż, albo i więcej potrzebuje. Należy znać skład gruntu, aby wiedzieć czy w nim jest podostatkiem pokarmu dla roślin, należy nakoniec umieć urabiać nawozy i niemi ziemię zasilać w miarę potrzeby.

Ziemia jest jakoby worek napełniony pieniędzmi. Jeżeli z worka ciągle czerpać a nic dokładać nie będziemy, wkrótce się wypróżni Zboża potrzebują kwasu fosforowego i magnezji, gdy je więc całkiem z ziemi wyciągną, już w tem miejscu rosnąć nie mogą, póki ziemi nie powrócimy kwasu fosforowego, a to się dzieje przez dodanie nawozu, albo kogo stać na to, kości tłuczonych. Z odchodów zwierzęcych, na nawóz używanych, najlepsze są ludzkie i ptasie, potem końskie, dalej z pod rogacizny, a naostatek nawóz świński. Nawóz zawiera w sobie potaż i sodę, zawiera kwas fosforowy a nakoniec zawiera wielką ilość tak zwanego azotu, który jest niezbędny do życia i wzrostu roślin. Prócz tego używa się także na nawóz popiołu drzewnego, wapna i gipsu. Dla czego popiołu? dla czego wapna? pewno wiedzieć będzie każdy, co powyższe przeczytał; gipsu zaś dla tego, ponieważ gips składa się z wapna i kwasu siarkowego, a tak jedno jak drugie są nietylko dobrym, ale nawet koniecznym dla roślin pokarmem.

Brzoza.

Brzoza, piękne to drzewo lasowe, lepiej się udaje w zimnych niż w ciepłych okolicach, tylko nie w zbytnie wilgotnym gruncie. Dochodzi niekiedy do siedmdziesięciu stóp wysokości, a półtory stopy miewa grubości, w 50 zaś lat zupełnie wyrasta. Drzewo brzozowe białe i twarde, ścinają zwykle od 25go roku jego istnienia; z każdej jego części znaczny odnosimy pożytek. Korzenie odznaczające się pięknym fladrem, do różnych wyrobów używane bywają; kora służy do garbowania skór, do wyrabiania pudełek, flaszek itp., w Laponji jako przymieszka do wypiekania chleba, a w Szwajcarji zastępuje miejsce łuczywa. W Rosji otrzymują z niej olej brzozowy, nadający miękkość i właściwy zapach skórze juchtowej. Samo drzewo nietylko wybornego dostarcza opału, ale i stolarze, stelmasi, tokarze używają go do swoich rozlicznych wyrobów węgle zaś z niego służą w hutach do topienia metalów, także do robienia prochu strzelniczego i do rysunku. Z sadzy drzewa brzozowego otrzymają czernidło drukarskie, farbę malarską, a popiół do blichowania i czyszczenia okien wielce przydatny. Z delikatnych gałązek robią rózgi i miotły; liście są zdrowym dla owiec pokarmem. Sok brzozowy ma smak przyjemny, a jest czyszczącym krew ludzką napojem; gdy zaś zmięszany z cukrem i winem ulegnie fermentowaniu, wtedy otrzymuje się z niego do szampańskiego podobne wino. W połowie Marca przed rozwinięciem się jeszcze drzew, cienkim świderkiem nie za wysoko nad ziemią wierci się w pniu otwór ukośnie, na dwa cale głęboki, zwłaszcza w dnie pogodne i to w południe, bo wtedy sok w drzewie w najsilniejszem jest poruszeniu, i wtyka się rurkę, przez którą tenże do podstawionego pod nią naczynia spływa powoli. Później zatyka się otwór kawałkiem drewna i smołą zalepia. Zwykle rozmnażają brzozę przez nasienie i przez młode jeszcze białą pokrywą nie powleczone latorośle, na wiosnę, przed rozwinięciem się liści Kilka jest rodzajów brzozy, z których pachnąca, wzorzystemi odznacza się słojami, sok zaś czarnej znaczną ilość cukru wydaje.

Cz. z Brz.

RÓŻNOŚCI.

Jak trzeba karmić kury? Kto chce mieć z kur prawdziwy pożytek, powinien najprzód wiedzieć jak je ma karmić. Najlepiej jest karmić kury gałeczkami zagniecionemi z mąki kukurudzianej i tatarki czyli hreczki, i gałeczki te trzeba im dawać dwa razy na dzień, rano i wieczór. Bardzo dobrze jest zwilżać te gałeczki mlekiem i za napój także należy dawać kurom mleko z wodą. Ziemniaki gotowane są także wyborną karmą dla kur. Kojec powinien stać w miejscu ciemnem, zacisznem i kurom żadnego ruchu dozwalać nie trzeba. Karmienie młodych kur zaczyna się w Lipcu lub w Sierpniu, w ogóle z dobrym jeszcze skutkiem prowadzić je można przez Październik, Listopad i Grudzień.

W niektórych krajach karmiono dawniej kury odpadkami mięsnemi albo robakami, ale mięso z takich kur psuło się prędko i jaja miały smak odrażający, przeto zaniechano całkiem tego sposobu karmienia i wszędzie teraz karmią kury gałeczkami wyżej opisanemi, ziemniakami gotowanemi i mlekiem z wodą. Karmienie takie nie jest wcale kosztowne, a w każdym razie sowicie się opłaci; jeżeliby zaś nam kto zarzucił, że to za wielka praca te gałeczki robić, temu krótko odpowiemy, że bez pracy nie będzie kołaczy. Kto chce mieć dochód większy niż miał dotąd, powinien więcej niż dotąd pracować.

O tuczeniu świń. Świniom tuczonym, kiedy pomyj nie dostają, trzeba dawać dziennie jeden do dwóch łutów soli, przekonano się bowiem, że świnie otrzymując tę ilość soli, w czterech miesiącach o pięćdziesiąt funtów na wadze zyskiwały, w porównaniu z innemi tejże samej wielkości, które soli nie dostawały.

Kózka. Chrząszcz kózką zwany jest jednym z największych nieprzyjaciół naszych drzew iglastych, a szczególniej jodły czerwonej. Samica wgryza się w korę i składa tam w miesiącu Lipcu 80 jaj. Wylęgłe z nich poczwarki pożerają najlepsze soki drzewa, które przez to obumiera od góry, igiełki czerwienieją, kora wysycha, a samo drzewo zaledwie na zwęglenie przydatne. Całe niekiedy lasy stają się łupem tych chrząszczów. Aby się od nich zabezpieczyć, nie trzeba zielono ściętych drzew nigdy długo pozostawiać w lesie. Korę tą plagą dotkniętych drzew, licznie od tego owadu podziurawionych, a pożółkłe mających igiełki, spiesznie obdzierać i spalić ją na ogniu należy.

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.